

Wiliam Markiewicz - malarz, dziennikarz, wydawca.



Wilek Markiewicz przy pracy, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony artysty).

Edward Zyman (*Kanada*)

Nie miał sztabu ludzi, rozbudowanej administracji, komisji rewizyjnej, rekwizytorów, słowem normalnego zaplecza związanego z funkcjonowaniem każdego wydawnictwa. Był praktycznie sam: autor artykułów, redaktor techniczny i merytoryczny, kolporter. Pismo, które wydawał nie stanowiło konkurencji dla „potentatów” w rodzaju „Głosu Polskiego”, „Związkowca” czy najmłodszego wówczas spośród polonijnych pism torontońskich - „Echa Tygodnia”. Nie mogło konkurować z nimi ilością kolumn, ani wysokością nakładu. Nie było na tyle zamożne, by w sposób radykalny mogło zmienić swą sytuację, rozwijając się współpracowników, modernizując technikę wydawania, zwiększając objętość i nakład. Mimo tych trudności i ograniczeń było na polonijnym rynku wydawniczym w Kanadzie (i nie tylko) swoistym fenomenem. Przez wiele lat z zadziwiającą regularnością docierało co dwa tygodnie do rąk czytelników, wśród których miało

oddanych i wiernych przyjaciół.

Myślę, że po tym krótkim wstępie, domyślicie już Państwo łatwo, że tekst, który czytacie dotyczy „Kuriera Polsko-Kanadyjskiego”, a konkretniej jego redaktora i wydawcy – Wiliama Markiewicza.

Jest zastanawiającą regułą, że nasza wiedza o ludziach, z których działalnością spotykamy się na co dzień, którzy wytrwałością i talentem przebili się przez mur animowej codzienności, których wreszcie efekty pracy służą nam wszystkim jako środowisku od lat – wiemy tak niewiele. Bo właściwie co przeciętnemu czytelnikowi polonijnej prasy kojarzyć się może z nazwiskiem redaktora i wydawcy „Kuriera”? Najwyżej dwie rzeczy: kilkunastoletnie redagowanie przezeń kolumny etnicznej w „Toronto Sun” i artykuł dr Andrzeja Pawłowskiego, który w swoim czasie na łamach „Związkowca” przedstawił malarskie zainteresowania bohatera naszego reportażu. A jeśli tak, to powiedzmy sobie szczerze – nie jest to portret pełny ani prawdziwy. Brak w nim wielu danych, które mogą przybliżyć tego skromnego, unikającego rozgłosu, a przecież tak fascynującego człowieka.



Wilek Markiewicz (z prawej) i Mirosław Supruniuk z „Kurierem Polsko-Kanadyjskim” w Archiwum Emigracji w Toruniu, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony

artysty).

Wyjechał z Polski jako chłopiec. Potem były: matura polska uzyskana w małej miejscowości pod Paryżem, studia biologiczne na uniwersytecie genewskim, praca w instytucie zootechniki we Francji. Od początku interesowała go twórczość, pracy badawczej poświęcał więc - mimo sugestii profesora, który wiązał z nim spore nadzieje - stosunkowo mało uwagi. Miast ślęczeć w pracowni nad zmudnymi analizami wybrał wolność artysty. Paryż ciągnął go jak magnes. Tu znalazł to wszystko, co dawało mu poczucie niczym nie skrępowanej swobody i pełnej podmiotowości. Pracując dorywczo w najbardziej nieprawdopodobnych zawodach, większość swego czasu poświęcał malarstwu i - jak mówi - „pisananiu do szuflady”. Gdy pytam go, co sprawiło, że wiedzę konkretną porzucił na rzecz sztuki odpowiada po prostu: nie miałem nigdy temperamentu naukowca.

W Paryżu nawiązuje liczne znajomości i przyjaźnie z tamtejszym środowiskiem artystycznym głównie malarskim. Zaczyna się w rysunku, by następnie, zupełnie przypadkowo, pod wpływem kolegów, przejść do malowania. Okazało się, że jego wprawki wielu znawcom wydały się interesujące. Z czasem bierze udział w niemal wszystkich salonach paryskich, krytyka poświęca mu coraz więcej uwagi, otrzymuje pierwsze propozycje z głośnych i renomowanych galerii. Wszystko to jednak trwa w jego odczuciu zbyt długo. Jest niecierpliwy, pragnie gwałtownej odmiany. Podejmuje decyzję o wyjeździe z Francji. Przez krótką chwilę myśli o Japonii, ostatecznie jednak ląduje w Kanadzie.

Nim jednak przejdziemy do przedstawienia jego długotrwałego epizodu kanadyjskiego, pozostanmy jeszcze przez moment przy malarstwie. Pytam mego rozmówcę o jego stosunek do uprawianej przez siebie twórczości, o nurty i tradycje, które uważa za własne, o twórców, których mógłby nazwać swoimi mistrzami. W odpowiedzi pada wspomniana przez któregoś z krytyków francuskich opinia, że jego malarstwo w mniejszym stopniu jest formą poszukiwań graficznych, w zdecydowanie większym natomiast stanowi pewien rodzaj poezji wyrażonej pędzlem. Zgadając się z tym, wydawca „Kuriera” mówi, iż bardziej czuje się poetą malarstwa niż rzeczywistym malarzem. Jeśli chodzi o tradycję - lubi sztukę epok odległych. Dotyczy to nie tylko malarstwa. - Dla mnie - mówi - muzyka skończyła się gdzieś na baroku, architektura - na wczesnym gotyku, literatura też nie ma wiele wspólnego z awangardą. Fascynuje się malarstwem El Greca, Hieronima Boscha, choć w tym co robi stara się być przede wszystkim sobą. W sztuce szuka metafizyki i tajemniczości. Uważa, że pierwiastki jednego i drugiego

ukryte są wokół nas, sztuka ma je wydobyć. W tym sensie jest twórcą realistycznym.

Malarstwo dostarcza mu wielu satysfakcji i drobnych funduszy. Jest wystawiany w kilku galeriach, sprzedaje, otrzymuje zamówienia. Gdy był już w Kanadzie nadeszła z Paryża oferta jednej z najbardziej renomowanych galerii francuskich, która zainteresowała się jego malarstwem. Odległość pokrzyżowała nieco plany, a być może - stwierdza z uśmiechem - była to okazja życia.



Tyle o malarstwie, przejdźmy teraz do literatury. W 1967 roku W. Markiewicz pisze po francusku i przetłumaczywszy przy pomocy żony, rodowitej Hiszpanki, na hiszpański - wydaje w Madrycie w serii dreszczowców dużą nowelę pt. *Kanibale duszy*. W tym samym czasie, a także nieco później ukazują się jego artykuły, opowiadania i szkice w prasie szwajcarskiej i francuskiej.

Po przyjeździe do Toronto rozpoczyna ożywioną współpracę z pismami etnicznymi. Przez krótki czas jest związany z „Głosem Polskim” (okres redaktorów Wyrzykowskiego i Rusinka). Drukuje w języku francuskim, hiszpańskim i angielskim. Rozpoczyna trwającą trzynaście lat współpracę z „Toronto Sun”, gdzie redaguje kolumnę etniczną. Z tego co mówi, zakończył tę współpracę bez

specjalnych sentymentów. Był to wysiłek ponad jego siły, zwłaszcza, że równolegle redagował i wydawał własne pismo. Nawiasem mówiąc pomysł wydawania „Kuriera” zaczerpnął z prasy etnicznej właśnie, dokładnie z francuskiego „Kuriera Południowego”. Początki były bardzo trudne. Mój rozmówca nie chce specjalnie rozwijać tego tematu. Uważa, że wystarczy, jeśli stwierdzi, że prócz ogromnego wysiłku, pokonywania normalnych barier związanych z każdym debiutem, nie brakowało przejawów ludzkiej złośliwości i nieżyczliwości, płaskich pomówień i intryg. W pewnym momencie „Kurier” odczuł to bardzo poważnie, był nawet zagrożony. W sumie jednak zwyciężyli czytelnicy, którzy nie opuścili swego pisma w najtrudniejszych dla niego momentach.

Skoro już jesteśmy przy piśmie, pytam jego redaktora i wydawcę, czy wie jak wyobrażają sobie „kuchnię” „Kuriera” jego czytelnicy? Czy wiedzą, jak to się dzieje, że gazeta redagowana przez jedną osobę, przynosi tak interesujący i żywy serwis informacyjny z całego świata, który jest swoistego rodzaju pigułką zawierającą wszystkie istotne treści, jakimi żyje współczesny Polak na emigracji.



Kolumna etniczna w „Toronto Sun”, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony artysty).

- Nie, czytelnik raczej nie zdaje sobie z tego sprawy. Potwierdzają to listy, w

których prosi się mnie często o rzeczy niewykonalne. Najmniejszej nawet korespondencji staram się jednak nie pozostawiać bez odpowiedzi, zwłaszcza, że mam czytelników głównie wśród emigracji starszej, dla których „Kurier” jest j e d y n y m przyjacielem. Doceniam to i staram się być godnym tej przyjaźni.

Pan Markiewicz nie obawia się uchylić rąbka tajemnicy. Mówi, że materiał dla jego gazety stanowią wszystkie polonijne pisma świata, z których za zgodą wydawców przejmuje interesujące go informacje. Gdy pytam, dlaczego nie waha się o tym mówić, ujawniając tajniki warsztatu, stwierdza z ujmującą szczerością: nie uznaję tajemnic. Uważam, że skrywanie czegoś zawiera w sobie zarodek zła.

Nie obawia się konkurencji. Wręcz przeciwnie: jest otwarty na wszelką współpracę. Gdy pytam, czy gazeta, którą wydaje od wielu lat lubi go, odpowiada z uśmiechem, że chyba tak, choć jest to obustronnie trudna miłość. Bywa zmęczony. Pamięta chwile, gdy myślał poważnie o rezygnacji. W sumie jednak nie wyobraża sobie życia bez „Kuriera”. Jest jego wielką namiętnością i obowiązkiem, czymś co stwarza mu ukochaną przezeń wolność wypowiedzi i pozwala na kontaktowanie się z ludźmi. Wierzy głęboko, że jego ciężka, pełna wyrzeczeń praca jest im potrzebna.

Powoli zbliżamy się do finału. Taśma magnetofonowa przyjmuje co prawda jeszcze długo refleksje mego rozmówcy, ale pamiętając o cierpliwości czytelników „Głosu” pozostawiam je już poza artykułem. Nie sposób zresztą czyjegoś całego życia przedstawić w jednym, najdłuższym nawet artykule. Kończymy więc spotkanie z człowiekiem, który mieszka wśród nas, urodził się w Polsce, pisze w języku francuskim, wydaje po hiszpańsku. Nie obcy jest mu także angielski, którym posługuje się w Kanadzie na co dzień, niemiecki, włoski, portugalski. Z człowiekiem tęskniącym za kulturą europejską, który jednakże ukochał nad życie Kanadę, będącą dlań symbolem wielorakich możliwości i swobody. Człowieka, który zafascynowany spekulacją naukową i futurologią, utrzymuje żywy kontakt z tym, co go otacza tu i teraz.

Przedstawiając czytelnikom „Głosu Polskiego” redaktora i wydawcę „Kuriera”, czynię to z przeświadczeniem, iż polonijny rynek czytelniczy w Toronto i Kanadzie jest na tyle chłonny, że znaleźć w nim może miejsce wiele pism, zwłaszcza tak różnych jak nasze. Mój rozmówca, sam będąc wiernym czytelnikiem „Głosu”, przypomina swoją własną maksymę, wedle której „im więcej nas na rynku, tym bardziej nas czytają”. Bardziej w znaczeniu uważniej, dokładniej, bo takie są

konsekwencje możliwości wyboru. Jedna gazeta zachęca do czytania drugiej.

- To tak - mówi - jakby goście w restauracji podawali stale menu, w którym jest tylko jedno danie. Po pewnym czasie musiałyby mu się to znudzić. Gdy w karcie propozycji jest więcej, człowiek próbuje wszystkiego, staje się bardziej wybredny, poznaje różne kuchnie. Słowem jako konsument - rośnie. Podobnie jest z czytelnictwem.

Od autora po latach: Artykuł ukazał się w wielkanconym (13/14) numerze wychodzącego w Toronto „Głosu Polskiego” opatrzonym datą 2-16 kwietnia 1985 r., w cyklu „Ludzie naszego miasta”. Jako nowy redaktor pisma prezentowałem w nim interesujące, wyraziście obecne w środowisku polskiej diaspory postacie kultury, polityki, życia społecznego. William (Wilek) Markiewicz był jednym z jego bohaterów, choć w kontaktach codziennych jawił się jako człowiek wyjątkowo skromny, unikający rozgłosu, stroniący od taniej popularności. Używając dzisiejszego języka powiedzielibyśmy, że nie był celebrytą.

Wilek Markiewicz zmarł 16 listopada 2014 roku w Toronto, w wieku 84 lat. Jego prace były wielokrotnie prezentowane na łamach magazynu „Culture Avenue”.

Wywiad:

<https://www.cultureave.com/filozof-bytu/>